

# **Polskie postcolonial studies? Przypadek południowoafrykański**

Paweł Zajas

**Paweł Zajas**

## **Polskie *postcolonial studies*? Przypadek południowoafrykański**

**W** rodzimej literaturze naukowej istnieje deficyt publikacji poświęconych eksploracji Afryki, ukierunkowanych nie tyle na okoliczności, w jakich polscy podróżnicy znaleźli się w egzotycznych stronach i badali rozmaite kraje, lecz właśnie na same teksty ich opisów i obserwacji<sup>1</sup>. Mimo iż Afryka Południowa nigdy nie stanowiła popularnego celu podróży, to jednak historyczne paralele czynią badanie tychże świadectw nadzwyczaj interesującym. O tym jednak nieco później.

Polskie odkrywanie Południowej Afryki jest związane z postacią poznańskiego Żyda, Gaspara da Gamy (ok. 1455 — ok. 1510), wymienianego również jako Gaspar da India, Gaspar d'Almeida lub Gaspar de las Indias. Do historii rodzimego poznawania świata da Gamę wprowadził Joachim Lelewel, pisząc:

Bez Żydka z Poznania po Indii krążącego, a chrztem Gaspar da Gama zwanego, Vasco da Gama 1498 i Kabral 1500 nie mieliby tego powodzenia w swych wyprawach, jakie on im zjednał<sup>2</sup>.

Gaspar we wczesnych dziecięcych latach opuścił rodzinne miasto, po czym po krótkich pobytach w Palestynie oraz Egipcie (Aleksandrii) dotarł do Kalikutu na wybrzeżu malabarskim, gdzie prowadził działalność handlową oraz szpiegowską. Następnie związał się z Portugalczykami i 20 marca 1499 roku opłynął w drodze do Lizbony po raz pierwszy Przylądek Dobrej Nadziei. Choć pozostawił po sobie notatki stanowiące jedno z ważniej-

<sup>1</sup> Zob. A. Kuczyński, *Polskie opisanie świata. Studia z dziejów poznania kultur ludowych i plemiennych*, t. 1: *Azja i Afryka*, Wrocław 1994, s. 6.

<sup>2</sup> Zob. J. Lelewel, *Polska. Dzieje i rzeczy jej*, t. 1, Poznań 1858, s. 168.

szych źródeł kartografii szesnastowiecznej o krajach leżących nad Oceanem Indyjskim, to jednak jego relacje o podróżach, zawierające między innymi opisy wybrzeża Afryki Południowej, nie zachowały się do czasów współczesnych<sup>3</sup>.

Z wybrzeżem południa Afryki miało w szesnastym wieku do czynienia jeszcze trzech Polaków: Erazm Kretkowski (1508–1558), Krzysztof Pawłowski (zm. 1602) oraz Paweł Palczowski (zm. ok. 1609). Ów ostatni zostawił po sobie opisy zawierające między innymi informacje dotyczące wybrzeży i wysp Afryki Południowej. W wieku siedemnastym kontakt z Przylądkiem staje się coraz częstszy. Początkowo byli to misjonarze jezuitów, dla których Afryka Południowa stanowiła etap w podróży do Indii, Chin, Japonii i innych krajów południowo-wschodniej Azji. Na szczególną uwagę zasługuje przy tym zakonnik z Towarzystwa Jezusowego o. Michał Boym (1614–1659), jako że w swoim liście datowanym na 11 stycznia 1644 roku dokonał pierwszego (zwartego) polskiego opisu południa Afryki. Całą nadmorską połą południowo-wschodniej Afryki, od Przylądka Dobrej Nadziei „aż do rzeki płynącej w stronę Goa”, Boym nazywa Kafrarią, zamieszkujące zaś te tereny ludy — Kaframi, a więc tak jak począwszy od VIII wieku nazywali je Arabowie (arab. *ka-fir* — niewierny). Należy pamiętać, że relacja o. Boyma wyprzedziła o 150 lat publikację angielskiego podróżnika Johna Barrowa (1764–1848), który uważany jest powszechnie za prekursora w tej dziedzinie<sup>4</sup>.

Wzrost morskiej potęgi holenderskiej, wypieranie przez nich z korzennych szlaków Portugalczyków oraz jednoczesny upadek królewskiej floty Rzeczypospolitej przyczynił się w pierwszych dziesięcioleciach siedemnastego wieku do masowej emigracji polskich marynarzy do Europy Zachodniej, przede wszystkim do Holandii. Anegdotycznym symbolem owego nowego rozdziału w dziejach polskich kontaktów z Afryką Południową stała się postać Jana Rybki — Polaka w służbie holenderskiej Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej. To nie lekarz okrętowy Jan van Riebeeck miał być w 1652 roku założycielem stacji zaopatrzeniowej w Kapsztadzie, ale właśnie nasz rodak o ludzaco podobnym nazwisku. Jednak, powracając do bardziej poważnego tonu, należy zaznaczyć, iż wielu obywateli Gdańska przybywało do Południowej Afryki, gdzie stawali się zrębem późniejszej społeczności burskiej.

W wieku osiemnastym pisemne ślady swojej bytności na Przylądku pozostawili po sobie między innymi Ksawery Karnicki (1750–1801) oraz Teodor Anzełm Dzwonkowski (1764–1850), autor pamiętnika, który, mimo zapewnień o jego zaginięciu, został wydany z rękopisu w roku 1985<sup>5</sup>. Choć kompozycja dziełka autorstwa Dzwonkowskiego jest nadzwyczaj luźna, fakty połączone są jedynie poszczególnymi etapami żeglarskiego szlaku, to jednak jego spostrzeżenia dotyczące Kapsztadu i południowoafrykańskich krajowców świadczą o zadumie nad społeczną i kulturową odmiennością percypanowanego świata. Tak

<sup>3</sup> Zob. A. Żukowski, *W kraju złota i diamentów. Polacy w Afryce Południowej. XVI–XX w.*, Warszawa 1994, s. 60.

<sup>4</sup> Zob. E. Kajdański, *Michał Boym. Ambasador Państwa Środka*, Warszawa 1999, s. 64.

<sup>5</sup> Zob. T. A. Dzwonkowski, *Pamiętniki, czyli pamiętka po ojeu dla Józefy z Dzwonkowskich Komornickiej*, wyd. S. i T. Komornicy, Warszawa 1985.

więc — jak pisze znawca problematyki polskiego wychodźstwa do Afryki Południowej, Arkadiusz Żukowski —

ogólnie należy stwierdzić, że obecność Polaków bądź osób wywodzących się z ziem Rzeczypospolitej sięgała czasów związanych z początkami eksploracji wybrzeża południowo-afrykańskiego, a później i wnętrza kraju. Obecność ta nie była tak zauważalna jak obecność Portugalczyków, Holendrów, Niemców czy Brytyjczyków, ale miała swój własny wymiar w poznaniu naukowym tej części Czarnego Łądu oraz w tworzeniu się społeczeństwa południowoafrykańskiego<sup>6</sup>.

W wieku dziewiętnastym kontakty Polaków z południem Afryki ulegają intensyfikacji i pogłębieniu. Oprócz emigrantów popowstaniowych, służących we flotach państw zaborczych lub zachodnioeuropejskich, i rodaków goszczących w południowoafrykańskich portach w drodze do Australii, gdzie dopiero co odkryto złoto, mamy do czynienia z pierwszymi naukowymi wyprawami do kraju Springboka. Pierwszym Polakiem, który zrealizował prawdziwie naukową podróż badawczą po Czarnym Łądzie, był Antoni Rehman (1840–1917), którym szczegółowo zajmiemy się w dalszej części wywodu, jako że spisane przez niego relacje posłużą nam za egzemplifikację podnoszonych w tym artykule kwestii polskich studiów postkolonialnych. Wśród innych podróżników i przyrodników należy wymienić Stefana Poraja-Sucheckiego<sup>7</sup> (1865–1905) oraz jezuitę o. Mariana Czermińskiego<sup>8</sup> (1860–1931).

Wybuch wojny anglo-burskiej (1899–1902), tego bliskiego-dalekiego konfliktu, który Polacy śledzili niczym symboliczną walkę małego narodu o wolność i niepodległość, przyniósł olbrzymi materiał tekstowy o Afryce Południowej. Jego rozmiar i różnorodność przekracza dalece możliwość i ambicje niniejszego szkicu, i choć częściowo został już opracowany<sup>9</sup>, wciąż czeka na należne mu naukowe zainteresowanie.

\*\*\*

<sup>6</sup> Zob. A. Żukowski, *W kraju złota...*, op. cit., s. 73.

<sup>7</sup> Zob. S. Poraj-Sucheccki, *Wschodnim wybrzeżem Afryki. Wrażenia z podróży*, Warszawa 1901.

<sup>8</sup> Zob. M. Czermiński, *Szkice cywilizacji Afryki Południowej*, Kraków 1890.

<sup>9</sup> Zob.: P. Szlanta, *Opinia publiczna Królestwa Polskiego wobec wojny burskiej*, „Przegląd historyczny” 2000, z. 4; P. Zajas, *Egünhard von Berfuss und junge Polen im Lande der Buren*, w: *Politik für europäisches Haus. Festschrift für Winfried Seelisch*, Darmstadt 2003, s. 39–47; idem, *Hoffnung auf das eigene Haus. Nationale Identität und Jugendliteratur im südafrikanischen Handlungsraum*, „Wiener Schriften zur niederländischen Sprache und Kultur”, Wien 2003, s. 95–106; idem, *Suid-Afrika – “die hartlik bekende grond”. Nasionale identiteit en Poolse jeugliteratuur in die Suid-Afrikaanse literêre ruimte*, <http://www.childlit.org.za/KonfBoerZajasd.html> (2004); idem, *Młodzi żołnierze de Weta. Obraz Afryki Południowej i wojny anglo-burskiej (1899–1902) w polskiej literaturze młodzieżowej początku XX wieku*, Ongepubliceerde dissertatie, Poznań 2003 [nieopublikowana praca doktorska].

Po wstępnym naszkicowaniu polsko–południowoafrykańskich koincydencji, omijających ze względu na rozmiary niniejszego tekstu jeszcze bardziej pasjonujący wiek dwudziesty, należy zadać zasadnicze pytanie: co może przynieść literaturoznawcy lektura tekstów polskich podróżników i naukowców wyprawiających się na południe Afryki i z jakiego instrumentarium badawczego winien on korzystać, aby w zadowalający sposób oświetlić owo swojskie spojrzenie na to co inne, egzotyczne? Dochodzimy tutaj do sedna problemu, całkowicie do niedawna nieobecnego w polskiej refleksji literaturoznawczej: polskiej teorii postkolonialnej.

Czy stosowanie terminów „kolonialny” i „postkolonialny” w odniesieniu do literatury polskiej jest zasadne? Wielu odpowie zapewne przecząco. Zrodzona głównie w ramach obszaru języka angielskiego krytyka postkolonialna szerokim łukiem omija tereny Europy Środkowo–Wschodniej. Frederic Jameson, jeden z głównych przedstawicieli tego kierunku badawczego, wskazuje właściwy przedmiot zainteresowań krytyki postkolonialnej:

Współcześni badacze zajmują się wewnętrzną dynamiką stosunków między najbogatszymi krajami i krajami Trzeciego Świata (...), co wyjaśnia w sposób precyzyjny znaczenie, w jakim używamy dziś słowa „imperializm”<sup>10</sup>.

Klasyczne już, czterystustronicowe dzieło Edwarda Saida *Culture and Imperialism* — gdzie we wstępie autor wspomina o „dość szerokim geograficznym i historycznym spektrum”<sup>11</sup>, które obejmują jego analizy — omawiając dwa wieki złożonych kolonialnych i postkolonialnych relacji między kulturami „Pierwszego” i „Trzeciego” Świata, co czyni z resztą w sposób niezmiernie dogłębny i błyskotliwy, wspomina jednak tylko ośmiokrotnie o Rosji i jej imperium, a Związek Sowiecki zasługuje na dodatkowe sześć wzmianek *in passim*<sup>12</sup>.

Nasi rodzimi literaturoznawcy również nie podejmują prób implementacji teorii postkolonialnej wobec naszego spojrzenia na Innego, uwikłanego w historię zaborów, a następnie pięciu dziesięcioleci powojennej, *quasi*–kolonialnej podległości. Z większych opracowań dysponujemy jedynie przekładem doskonałego studium amerykańskiej slawistki polskiego pochodzenia, Ewy Thomson, która zinterpretowała literaturę rosyjską, nakładając na nią postkolonialną siatkę pojęć<sup>13</sup>. Symptomatyczny wydaje się fakt, iż najnowsze wydanie *Słownika terminów literackich*<sup>14</sup> nie zawiera nawet wyjaśniającego owe zjawisko lematu, co z racji normatywnego charakteru publikacji, jaką jest słownik wydany przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, zdaje się rzeczą wyjątkowo zadziwiającą.

<sup>10</sup> Zob. C. Cavanagh, *Postkolonialna Polska. Biała plama na mapie współczesnej teorii*, „Teksty Drugie” 2003, nr 2–3, s. 61.

<sup>11</sup> Zob. E. Said, *Culture en imperialism*, tł. L. Dorrensteyn, Amsterdam–Antwerpen 1994 [wyd. oryg.: *Culture and Imperialism*, New York 1993].

<sup>12</sup> Zob. C. Cavanagh, op. cit.

<sup>13</sup> Zob. E. Thomson, *Timbadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm*, tł. A. Sierszulska, Kraków 2000.

<sup>14</sup> Zob. *Słownik terminów literackich*, red. J. Sławiński, Warszawa 2000.

Dla wielu zimnym prysznicem okazał się krótki artykuł Clare Cavanagh, która jako jedna z pierwszych dostrzegła zadziwiające zaniedbanie naszej rodzimej nauki o literaturze:

Potomkowie Conrada we Wschodniej Europie także udowodnili, że są bystryimi interpretatorami działań imperialnych mocarstw oraz następstwowych działań. Pozostaje mieć nadzieję, że przedstawiciele krytyki postkolonialnej nauczą się w końcu wykorzystywać w swoich tekstach doświadczenia tej części świata, która pod wieloma względami pozostaje nadal białą plamą na mapie nowoczesnej teorii<sup>15</sup>.

Odwołuje się przy tym opinii historyka Neala Aschersona, który, recenzując na łamach „New York Review of Books” książkę Ryszarda Kapuścińskiego *The Shadow of Sun*, zwraca uwagę na przynależność jej autora do szczególnej tradycji, tworzonej przez podróżujących po świecie pisarzy

tych krajów europejskich, które przez długie lata znajdowały się pod obcym panowaniem rosyjskiego, austro-węgierskiego lub niemieckiego imperium, i które jeszcze niedawno najeżdżano, podbijano, poddawano kulturowej dominacji, a nierzadko pozbawiano wszelkiej suwerenności. Pisarze ci wiedzą doskonale, jak wygląda druga strona kolonializmu, i dlatego w Afryce, w Azji czy w krajach Polinezji odnajdują nieustannie ślady własnych doświadczeń<sup>16</sup>.

Wątek zasygnalizowany przez amerykańską slawistkę podjął Aleksander Fiut, uznając, iż polskie losy skłaniają do przełamania obowiązującego w studiach postkolonialnych binarnego modelu „Pierwszy Świat — Trzeci Świat” i przyznania krajowi nad Wisłą należnego miejsca w toczącej się debacie<sup>17</sup>. Autor wyprzedza ataki krytyków, mogących zarzucać mu rozciąganie ram interpretacyjnych postkolonializmu, stwierdzeniem o niemożności położenia znaku równości pomiędzy kolonizacją Ameryk, Afryki, Azji czy Australii a tym rodzajem stosunków, jakie wytworzyły się w ciągu stuleci na terenach Europy w wyniku wojen i podbojów. Nie zmienia to jednak jego zdaniem faktu, iż narzędzia krytyki postkolonialnej są niezwykle użyteczne do badania rozmaitych rodzajów i przejawów kulturowej zależności, która powstaje w wyniku dominowania jednej, pochodzącej z zewnątrz, kultury nad kulturami lokalnymi. I tak

<sup>15</sup> Zob. C. Cavanagh, op. cit., s. 71.

<sup>16</sup> *Ibidem*, s. 70.

<sup>17</sup> Zob. A. Fiut, *Polonizacja? Kolonizacja? w: Krainy utracone i pozyskane. Problem w literaturach Europy Środkowej*, red. K. Krasucki, Katowice 2005, s. 14.

pozbawiona ideologicznego ostrza, stosowana z umiarem i ostrożnie krytyka postkolonialna pozwala lepiej, dokładniej sprecyzować niektóre przynajmniej zagadnienia oraz sformułować pytania dotychczas niestawiane<sup>18</sup>.

Fiut zachęca do obusiecznego stosowania nowego instrumentarium metodologicznego. A więc nie tylko „tradycyjny i wyblakły już mocno obraz Polski–ofiary, cierpiącej niewinnie, gnębionej całe wieki przez najeźdźców”, ale również kłopotliwe i trudne pytania o „formy kulturowej — i nie tylko — polskiej dominacji na rozciągających się od Bałtyku po Morze Czarne obszarach dawnej Rzeczypospolitej”<sup>19</sup>. Przypominajmy więc akty naszej mniej czy bardziej „aksamitnej” kolonizacji krajów bałtyckich, Dymitriady (których rocznicę tak hucznie ostatnio obchodzą Rosjanie) czy też pozostające w sferze imaginacji nadzieje na polskie kolonie w Afryce, którym to koncepcjom patronowała Liga Morska i Kolonialna.

Spójrzmy więc teraz na specyfikę polskiej reprezentacji egzotyki oraz owych skolonizowanych Innych w skali mikro. Za egzemplifikację posłużymy nam etnograficzny opis południowoafrykańskiego interioru autorstwa wzmiankowanego już Antoniego Rehmana. Ów uczony, pochodzący z państwa nieistniejącego wówczas na mapie Europy, podejmuje dwanaście lat po powstaniu styczniowym swoją pierwszą zamorską wyprawę. Co widzi i czym jego percepcja różni się od zachodnich, znanych mu relacji?

\*\*\*

Antoni Rehman (1840–1917) — profesor uniwersytetu lwowskiego, botanik, geobotanik, geograf, a co dla nas najważniejsze, niestrudzony podróżnik — odegrał znaczącą rolę w eksploracji Południowej Afryki w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Wyjazdy w teren były już wcześniej nieodłącznym elementem pracy naukowej Rehmana. Celem poznania świata roślin zwiedził w latach 1865–1872 Tatry, Czarnohorę, Podole zachodnie i wschodnie, Besarabię, Krym oraz Kaukaz. Polski badacz wniósł niemały wpływ do rozwoju botaniki, która pod koniec XIX wieku przekształciła się z powierzchownej nauki o nazwach i użytkowaniu roślin w dyscyplinę badającą wszelkie właściwości flory jako organizmów żywych<sup>20</sup>.

Rehman podjął dwie wyprawy do Południowej Afryki. Pierwsza, odbyta w latach 1875–1877 na angielskim parowcu „Windsor Castle”, objęła skrawek Kraju Przylądkowego, zatokę Mossel, aż po port Krysne. Później przemierzył na wół pustynną krainę Karoo,

<sup>18</sup> *Ibidem*, s. 16.

<sup>19</sup> *Ibidem*.

<sup>20</sup> Zob. A. Kuczyński, *Wśród buszu i czarowników. Antologia polskich relacji o ludach Afryki*, Wrocław 1990, s. 162; A. Zemanek, *Antoni Rehman (1840–1917). Botanik, geograf, podróżnik*, w: *Uniwersytet Jagielloński. Złota Księga Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi*, cz. 1: *Biografie uczonych — Universitas Jagellonica. Liber aureus Facultatis Biologico-Geographicae*, pars 1: *Virorum Doctorum Vitae*, red. A. Zemanek, Kraków 2000, s. 59–68.

był w Kimberley, ówczesnym mieście diamentów, gdzie zapoznał się z metodami wydobycia tych drogocennych kamieni. Zamierzał także udać się przez pustynie Kalahari do jeziora Ngami (śladem pierwszych wypraw Livingstone'a), lecz zabrakło mu pieniędzy, aby zrealizować to przedsięwzięcie. Po zmianie trasy dotarł do burskiego państwa Oranie, kraju Basuto i w Góry Smocze, skąd przez Natal we wrześniu 1876 roku przybył do Durbanu nad Oceanem Indyjskim. Owocem pierwszego pobytu była bogata kolekcja roślin, którą w marcu 1877 roku przywiózł do Krakowa. Kolejna podróż, przypadająca na lata 1879–1880, wiodła przez Natal, Pretorię aż do gór Machalis oraz Lachlaba oraz południowych części pustyni Kalahari, niedaleko stron, gdzie dzisiaj znajduje się Rezerwat Narodowy Krugera. Zgodnie z powziętym postanowieniem Rehman chciał dotrzeć do rzeki Limpopo, ale tragarze oraz przewodnik odmówili mu posłuszeństwa, i chory na febrę oraz pozbawiony środków finansowych podróżnik musiał zakończyć swoją afrykańską przygodę. W sumie spędził w Afryce Południowej ponad trzy lata, a swoją bogatą kolekcją botaniczną wzbudził zainteresowanie środowisk naukowych Europy. Dla pokrycia kosztów podróży zmuszony był sprzedać swoje zbiory, które zakupił uniwersytet w Zurychu oraz Muzeum Królewskie w Berlinie<sup>21</sup>. W uznaniu zasług objął katedrę geografii na Uniwersytecie Lwowskim, którą prowadził przez trzydzieści lat.

Warto zwrócić uwagę na fakt, iż Rehman był jednym z nielicznych polskich autorów piszących o Afryce, którzy posiadali znajomość problematyki etnograficznej i rozumieli znaczenie tego typu badań. Trzyletnia eksploracja kraju Springboka zaowocowała, oprócz publikowanych na łamach czasopism artykułów, dwoma wydawnictwami książkowymi. Były to: *Szkice z podróży do Południowej Afryki odbytej w latach 1875–1877*<sup>22</sup> oraz *Edca z Południowej Afryki*<sup>23</sup>.

Uważna lektura obu tekstów skłania czytelnika do zatrzymania się przy następujących elementach: formie, jaką przybrały jego dwie książkowe relacje, oraz na naszkicowanej w nich etnografii Przylądka. Oba te elementy winniśmy dodatkowo porównać z bagażem tekstów zachodnioeuropejskich podróżników, które Rehman gruntownie znał i cytował. Zakres wiedzy polskiego botanika jest dla dzisiejszego czytelnika fascynujący. Oprócz fachowych wiadomości z własnej dziedziny, posiadał bowiem szerokie rozeznanie w ówczesnej literaturze antropologicznej i podróżniczej. Rehman powołuje się w wielu miejscach — oraz je implementuje do własnych spostrzeżeń — na sprawozdania z podróży po Południowej Afryce autorstwa Karla Maucha (1837–1875), Gustawa Fritscha (1838–1927), Johna Barrowa (1764–1848), Hinricha Lichtensteina (1780–1857), misjonarza Roberta Moffata (1795–1883), Willema Bleeka (1827–1875), Andersa Sparrmana (1748–1820), Françoisisa le Vaillanta (1753–1824), Petera Kolbego (1675–1725) oraz Mungo Parka (1771–1806). Tło wiedzy o południowoafrykańskiej rzeczywistości stanowiły więc dla polskiego botanika dzieła,

<sup>21</sup> Zob. A. Żukowski, *W kraju złota i diamentów...*, op. cit., s. 84.

<sup>22</sup> Wyd. Warszawa 1881; dalej cyt.: Sz (lokalizacja cytatów i paginacja w tekście).

<sup>23</sup> Wyd. Lwów 1881; dalej cyt.: E (lokalizacja cytatów i paginacja w tekście).



które wyszły spod piór Francuzów, Niemców, Anglików, Szkota oraz Szweda. Rozprawy o charakterze geograficznym czy etnograficznym były bowiem w większym stopniu domeną przyjezdnych cudzoziemców niż białych mieszkańców Przylądka. Mimo że okres bytności Holendrów na tym terenie obejmował 150 lat, dzienniki podróży przez nich spisane zaczęto wydawać dopiero pod koniec XIX wieku jako historyczne publikacje źródłowe<sup>24</sup>.

Można pokusić się o stwierdzenie, iż lektura tekstów głównie angielskich, niemieckich oraz francuskich podróżników wyznaczała trajektorię obu podróży. I tak na przykład podczas pierwszego pobytu Rehman planuje wycieczkę nad rzekę Kaimansrivier, „ponieważ jeden z niemieckich podróżników, który zwiedzał Afrykę przed kilkudziesięciu laty, nie znajduje dość słów pochwalnych dla tej miejscowości” (Sz 119). Z dużą dozą prawdopodobieństwa chodzi tu o wzmiankowanego Martina Heinricha Carla Lichtensteina (1780–1857), Niemca, który w latach 1802–1806 pracował dla administracji Republiki Batawskiej. Jego książka *Reisen im südlichen Afrika in den Jahren 1803, 1804, 1805 und 1806* (t. 1–2, Berlin 1810–1811) zalicza się do największych i najpoważniejszych prac o Przylądku z początku XIX wieku, i została niebawem przełożona na angielski (1812), niderlandzki (1813–1815; wersja skrócona 1818) oraz francuski (1842). Przez wiele lat funkcjonowała jako podstawowe kompendium wiedzy o Afryce Południowej. Antoni Rehman, zbadawszy koryto rzeki, stwierdza jednak, iż „pochwały wzmiankowanego powyżej niemieckiego podróżnika nie są wolne od przesady”, jako że „do złudzenia przypominają formację rzek południowego Podola i guberni Chersońskiej” (Sz 120)<sup>25</sup>.

Mimo nieustannego zanurzenia Rehmana w intertekście innych relacji, opinii, punktów widzenia, jego spojrzenie pozostaje wyostrzone na niezgodności pomiędzy literacką reprezentacją a zastaną rzeczywistością; opis jest korygowany przez wzrok badacza. Tym samym

<sup>24</sup> Zob. S. Huigen, *Beschafte en onbeschafte wilden. Wetenschappelijke reisverslagen over Zuid-Afrika rond 1800*, „Feit en Fictie” 2001, 5(3), s. 84.

<sup>25</sup> Rehmana zachęcała do przedsięwzięcia wyprawy nad Kaimansrivier zapewne nie tylko obietnica niezwykłych wrażeń estetycznych, ale również wzmiankowane przez Lichtensteina bogactwo roślin zielonych porastających dolinę rzeki: „Von dem Gipfel führte unter andern ein sehr hübscher, ziemlich gerade ausgehauener Weg rechts nach der Küste hin und an seinem Ende öffnete sich eine überraschende Aussicht auf das Meer und die dichtbewachsenen Abhänge der äußersten Felsenreihe, an deren Fuß die Brandung noch hinaufschäumte. Die Höhe des Standpunktes, die Lieblichkeit der nächsten Umgebungen und die schattige Kühle des Laubenganges machen diesen Spaziergang künftigen Reisenden sehr empfehlenswert. wer überdies auf Sammlungen von Kräutern und Insecten ausgeht und einen eben so heitern Tag trifft, vielleicht gar noch zu einer günstigeren Jahreszeit reiset, als ich, der findet hier reiche Befriedigung einer solchen Lieblingsneigung” (H. Lichtenstein, *Reisen im südlichen Afrika in den Jahren 1803, 1804, 1805 und 1806*, Berlin 1811 [repr. 1967], t. 1, s. 312). Jednocześnie należy wyraźnie zaznaczyć, iż Lichtenstein, wyprawiając się nad rzekę Kaiman, również kierował się zasłyszonymi opiniami. Mimo wyjątkowo trudno przejezdnej drogi nie rezygnuje z wyznaczonego celu: „Da man mir die Passage der Kaimanschlucht als sehr interessant geschildert hatte, so blieb ich mit dem Cadet Lesueur und dem Hofmeister bei der Bagage” (*ibidem*, s. 310). Tym samym relacja Rehmana wpisuje się w dłuższy ciąg reprezentacji tego miejsca położonego na Wschodnim Przylądku. Na temat reprezentacji literackiej Wschodniego Przylądka (*Oos-Kaap*) zob. również H. Van Vuuren, *'n Oorsig oor die Oos-Kaapliteratuur*, <http://www.upe.ac.za/afned/streckl.htm>, 2000.

opis ten nie przystaje do Saidowskiej tezy (powtarzanej przez licznych następców autora)<sup>26</sup> o cytacyjnej naturze orientalizmu, powielaniu istniejących reprezentacji egzotyki i dodawaniu utworów jeden po drugim, tak „jak konserwator starych szkiców mógłby zestawić razem cały cykl w obraz, na który się nakładają, i który jest w nich *implicite* zawarty”<sup>27</sup>. U Rehmana ów cykl reprezentacji, odwołujący się do poprzedzających je i następujących po nich przedstawień, ów nieustanny łańcuch odwołań, który tworzy poczucie miejsca, przerywany jest raz po raz komentarzami burzącymi absolutną wiarygodność archiwum tekstowego. „Wiedomości podawane przez innych podróżników (...) są w ogóle dość niedokładne, a w wielu razach grzeszą przesadą” (E 142) — powtarza nieustannie polski podróżnik–botanik.

Uświadomiwszy sobie miejsce polskiego badacza w południowoafrykańskim dyskursie oraz po zasygnalizowaniu faktu, iż jego spojrzenie na to, co „obce”, wpisane było (z zachowaniem krytycznego dystansu) w szeroki intertekst wcześniejszych relacji, wróćmy do postawionego zadania i przyjrzyjmy się w tym miejscu samej formie jego etnograficznych szkiców. Pierwsza książka została zaplanowana jako praca *stricte* naukowa. Trudności ze znalezieniem wydawcy zmusiły jednak autora do wprowadzenia zmian redakcyjnych i ograniczenia się do „skreślenia wrażeń i codziennych przygód z podróży, jak niemniej zwiedzanych okolic i ich mieszkańców” (Sz, wstęp). Zamiar ten jednak nie powiódł się do końca, w wyniku czego czytelnik otrzymał traktat botaniczno–geograficzny, pełen informacji o nazwach prądów morskich, aktualnej temperaturze, ilości przemierzanych mil, a następnie o faunie i florze Przylądka, poznawanej po opuszczeniu statku. Wywód sporadycznie przerywają pasaże noszące znamiona literackości (na przykład estetyzujące opisy koloru wody, tworzących się na niej fał). Autor, nazywający siebie „naturalistą” i „bezzstronnym badaczem” (Sz 66, 68), miał wyraźną ambicję stworzenia pedantycznie dokładnego, pozytywistycznie naukowego przekazu, nieskażonego obserwacjami, których nie dałoby się zweryfikować. Widzimy go, jak z nieodłączną aluminiową puszką kolekcjonuje i opisuje botaniczne okazy; opisy międzyludzkich interakcji raczej pomija. Jedzie, ogląda, powraca, po czym spisuje swoją relację, przedstawioną nie jako wynik bezpośrednich obserwacji, kontaktu z informatorami, lecz pisania w zatłoczonej pracowni. Rehman–autor z pierwszej relacji, poprzez brak odniesień do doświadczenia etnograficznego, przypomina alegorię pochodzącą ze strony tytułowej wydanego w 1724 roku dzieła ojca Josepha–François Lafitau (1681–1748) *Moeurs des sauvages américains* (tłum. ang. 1974). Przedstawia ona etnografa w postaci młodej kobiety siedzącej przy pulpicie pośród artefaktów z Nowego Świata, antycznej Grecji i Egiptu. Autorce towarzyszą dwaj cherubini, pomagający jej przy pracach porównawczych, oraz brodata postać czasu, wskazująca na obraz przedstawiający jedyne źródło prawd wyłaniających się spod pióra pisarki<sup>28</sup>.

<sup>26</sup> Por. T. Mitchell, *Egipt na wystawie świata*, tl. E. Klekot, Warszawa 2001, s. 55.

<sup>27</sup> *Ibidem*, s. 57.

<sup>28</sup> Zob. J. Clifford, *Kłopoty z kulturą. Dwudziestowieczna etnografia, literatura i sztuka*, tl. E. Dzurak i in., Warszawa 2000, s. 29.



Tak zarysowany i zinterpretowany tekst stałby się idealnym, wręcz modelowym lupem wciąż jeszcze nośnej teorii autorstwa Mary Louise Pratt *Travel Writing and Transculturation*<sup>29</sup>, która nadal stanowi ważny punkt odniesienia w studiach nad postkolonializmem. Pratt wysuwa tezę, iż podróżopisarstwo drugiej połowy XVIII wieku oraz w późniejszym okresie stanowi zdehumanizowaną, wręcz pozbawioną ludzkiego czynnika reprezentację rzeczywistości południowoafrykańskiej. Według amerykańskiej badaczki decydujący wpływ na osiemnastowieczne i dziewiętnastowieczne teksty odgrywała w tym przypadku *Histoire naturelle* w duchu Georges'a Buffona (1749–1788), a przede wszystkim Karola Linneusza (1707–1778). Dlatego też po roku 1750 nowa generacja podróżników miała ograniczyć pełny opis rzeczywistości w kolonii wraz z zachodzącymi w niej kontaktami międzykulturowymi (*contact zone*) do opisu zjawisk przyrodniczych. Autor tekstu miał być więc jedynie neutralnym obserwatorem natury, pomijając całkowicie kontakty z ludnością tubylczą. Tym samym winny był sytuacji, którą Pratt określa mianem „anty-podboju” (*anti-conquest*): milczącej, tekstualnej ekspropriacji nieznanego świata na potrzeby europejskiego czytelnika. Jeśli nawet okazjonalnie pojawiają się tubylcy, ich opis ma charakter obiektywizujący, ukierunkowany przede wszystkim na cechy fizyczne.

Takie postawienie sprawy stanowi jednak znaczne jej uproszczenie. Niebagatelną rolę odgrywała bowiem obowiązująca w tym czasie konwencja opisu etnograficznego, która starała się oddzielać przedstawienia efektów ludoznawczych wędrowek od etnograficznego konkretności. Wymogi narracyjne, ale też zasady konstruowania świata przedstawionego dążyły, analogicznie do zamierzeń powieściopisarzy–realistów, do typowości. Również w polskiej dziewiętnastowiecznej etnografii prowadziło to do tego, że i chłopcy tracili indywidualność, zamieniając się w typy, te zaś — w niewielkim stopniu — pozwalały na oddanie specyfiki regionalnej, nie mówiąc już o szansach prezentowania jednostkowych losów<sup>30</sup>. Naukowiec świadomy obowiązujących konwencji i stojących przed nim zadań — a takim człowiekiem z całą pewnością był Antoni Rehman — nie identyfikuje się w żadnej mierze z otaczającymi go współtowarzyszami osiemnastodniowej podróży do Kapsztadu, a następnie nie wchodzi w interakcje z ludnością tubylczą również z innych względów. Mimo iż „znajdował przyjemność w towarzystwie okrętowym” (Sz 12), jego praktyka podróży, ukształtowana na tle powstającej etnografii, związana była raczej z tym, co obecnie można by nazwać „podróżą wyrafinowaną”, funkcjonującą w obrębie elity i zdefiniowaną przez zdanie „Nie jesteśmy turystami”<sup>31</sup>. Zobiektywizowany opis, staranne wymazywanie obdarzonych imieniem i wyszczególnionych jednostek, reprezentatywnych informa-

<sup>29</sup> Zob. M. L. Pratt, *Imperial Eyes. Travel Writing and Transculturation*, New York 1992.

<sup>30</sup> P. Kowalski, *Popkultura i humaniści. Daleki od kompletności remanent spraw, poglądów i mistyfikacji*, Kraków 2004, s. 182.

<sup>31</sup> Zob. J. Clifford, *Kłopoty z kulturą...*, op. cit., s. 153.

torów, stanowi u Rehmana, jak się zdaje, wysiłek związany przede wszystkim z definicją negatywną formułowaną wobec literatury podróżniczej. Podążając dalej tokiem rozumowania Jamesa Clifforda, możemy wysunąć tezę, iż był on wymierzony w mniejszym stopniu przeciw „staniu się tubylcem”, a bardziej przeciwko „staniu się podróżnikiem”, przeciw pogwałceniu zawodowego habitusu. Nasz badacz, sygnalizujący każdym zdaniem dążenie do wyczelowania danych i niezależność od obiektu prowadzonych badań, upodabnia się tym samym do postaci widocznych na fotografiach publikowanych przez Bronisława Malinowskiego, ukazujących jego samego w terenie: jest cały ubrany na biało i otoczony przez czarne ciała, ostro wyróżniając się postawą i pozą. Z pewnością, podobnie jak nasz Antoni Rehman, nie jest to człowiek, który byłby skłonny stać się tubylcem.

Sejentyistyczny, ukierunkowany na faktografię opis ma w świetle powyższych rozważań głównie dwie przyczyny: wywodzącą się jeszcze z traktatów apodemicznych, a następnie podjętą przez dziewiętnastowieczną polską etnologię tradycję badań terenowych oraz uprzedzone trzymanie się ustalonego wcześniej kodu prezentowania swoiście pojmowanego profesjonalizmu. Tak więc teza formułowana przez Pratt nie do końca właściwie odczytuje wczesne teksty podróżników. Krzywdząca generalizacja, jakoby linneuszowski duch *histoire naturelle* do końca opanował ich umysły, zdaje się w świetle dalszych rozważań zgoła efekciarskim zabiegiem czysto anglosaskiej (jako że niebiorącej pod uwagę tekstów nieangielskich, bądź nie tłumaczonych na język angielski) teorii postkolonialnej.

*Echa z Południowej Afryki* — owoc drugiej wyprawy Rehmana — przyniosły gruntownie przebudowaną formę narracyjną. Choć nienaruszony pozostał porządek chronologiczny, to w niektórych miejscach czytelnik jest informowany o zabiegach narracyjnych, które dokonały przesunięć w chronologii odwiedzanych przez niego miejsc, „ażeby nie psuć toku opowiadania” (E 76). Jednak już informacje o ludności tubylczej, zebrane na różnych etapach podróży, zostały pogrupowane i przedstawione w przejrzysty sposób w oddzielnej części książki<sup>32</sup>. Tak radykalna zmiana struktury tekstu mogła być, choć teza ta pozostaje w sferze skojarzeń i porównań (co przecież stanowi istotę humanistyki), wynikiem lektury Lichtensteina. Wnikliwie czytany i wzmiankowany przez Rehmana Niemiec poświęca wiele uwagi — aby nadać obserwacjom większą wiarygodność naukową — kwestii tekstualizacji doświadczenia etnograficznego. Istotnym zabiegiem jest oddzielenie opisu („*beschreibender Theil*”) od toku opowiadania („*erzählender Theil*”), przy czym ten pierwszy został po licznych konsultacjach z kolegami po fachu przesunięty na koniec relacji, tak aby relacja z podróży stanowiła dla czytelnika tło dla następującej po niej narracji etnograficznej<sup>33</sup>.

W porównaniu z pierwszymi szkicami z podróży do Południowej Afryki polski autor tym razem o wiele bardziej liczy się z czytelnikiem; miejsce nużącego traktatu botanicznego zajmuje opis codziennych wrażeń i przygód. Być może biorąc przykład ze znanych

<sup>32</sup> Zob. A. Rehman, *Echa...*, op. cit., s. 141–301.

<sup>33</sup> Zob. H. Lichtenstein, *Reisen...*, op. cit., t. 1., s. XXXII–XXXIII.

mu dzienników Francuza Le Vaillanta, posunął się nawet tak daleko, iż materiał przeplatają często anegdoty, żarty, dialogi (robiące wrażenie mało oryginalnych) oraz niewybredne drwiny. Tak więc w opisie drugiej podróży diametralnie zmienia się retoryka przekazywania „danych”: fakty są raczej układane w fabuły niż po prostu zebrane, raczej stworzone w relacjach ze światem niż zaobserwowane w objętym kontrolą środowisku. Bezimiennych obserwatorów zastępują ludzie z krwi i kości, a wznoszący się ponad plan prowadzonych badań Rehman–obserwator staje się człowiekiem zdanym na los i swoich przewodników i tragarzy, „drżącym od zimna na całym ciele”, któremu na dodatek „wybladłe widmo febry afrykańskiej stanęło nagle przed oczyma” (E 135).

Kontynuując „demaskację” uogólnionych tez wysuwanych przez Pratt, należy w tym miejscu zaznaczyć, iż nie jest prawdą, jakoby podróżnicy–naukowcy końca XVIII i XIX wieku nie byli zainteresowani kulturą ludności tubylczej. Rehman, wpisujący swoje spostrzeżenia w poludniowoafrykański dyskurs końca XVIII i początku XIX wieku (na takie teksty powołuje się najczęściej), poświęca autochtonom wiele uwagi; jego opisy uzupełniane są dodatkowo bardzo krytycznymi rozważaniami wobec zarówno holenderskiej (co stanowiło normę), jak i angielskiej (co było raczej rzadkością) polityki kolonialnej. Ponieważ trasa podróży Rehmana nie ograniczała się jedynie do Kolonii Przylądkowej, ale z portu w Durbanie wybiegała aż na północ Transwalu, miał on okazję kontaktować się nie tylko z ludnością Khoisan (Hotentotami i Buszmenami), ale również z Xhosa i Zulusami (nazywanymi w tamtym czasie „Kaframami”). Powody zainteresowania ludnością tubylczą nie odbiegały u Rehmana od europejskiej normy. Uważał, iż przyczynia się w ten sposób do poznania esencji człowieka, jako że

jeśli najnowszym badaniom na polu archeologii udało się przełamać przestarzałe przesady, posunąć dzieje rodu ludzkiego o wiele tysięcy lat wstecz i podnieść wartość i zasługę cywilizacji przez wykazanie przestrzeni, jaka dzieli ją od pierwotnych jej związków, to badania ludów żyjących obecnie na ziemi w stanie pierwotnej dzikości ma tę wyższość nad badaniami archeologów, że uzupełniając skreślony przez nich obraz fizycznego stanu pierwotnego człowieka, pozwala nam zajrzeć w stan jego umysłowy i uchylić przynajmniej częściowo grubą zasłonę, jaka pokrywała dotychczas pierwotne zawiązki cywilizacji (E 141).

Poznanie tubylców jest więc niczym podróż do początku. Należy przy tym zwrócić uwagę na fakt, że kontaktów Polaka z tubylcami nie można w żadnej mierze nazwać powierzchniowymi. Ponieważ posługiwał się nie tylko językiem angielskim i niemieckim, ale również niderlandzkim<sup>34</sup>, komunikacja z wieloma grupami przebiegała dość sprawnie (w trudniejszych przypadkach zdawał się na pomoc tłumaczy).

<sup>34</sup> Zob. A. Rehman, *Echa...*, op. cit., s. 117.

Jak już wspominaliśmy, opis poszczególnych grup etnicznych został umieszczony w drugiej relacji Rehmana poza przyjętym porządkiem chronologicznym. Osobne, wydzielone miejsce w tekście stwarza tym samym wrażenie systematyczności i obiektywizmu. Przyjętą kolejność opisu: wygląd, zwyczaje, religia; jego wyjęcie z toku narracji i osadzenie w etnograficznej teraźniejszości można uznać za kontynuację struktury topicznej, uzależnionej od publikacji poprzedników. Koncentracja obserwacji w jednym miejscu (czego zabrakło w pierwszej relacji) jest więc środkiem retorycznym, pozwalającym na przejrzystą prezentację informacji. Mimo iż Rehman przyjmuje w opisie tubylców konwencję rekapitulacji wiadomości, zebranych przez między innymi Barrowa, Fritscha, Bainsa, Chapmana, Livingstona, Moffata i Lichtensteina, to dzięki krytyce pod adresem swoich poprzedników wzmacnia wrażenie obiektywizmu.

W opisie Buszmenów, Hotentotów i Kafrów (posługując się ówczesną terminologią, jako że mówimy cały czas o literackich, choć etnograficznych reprezentacjach) Rehman stosuje bez większych zastrzeżeń kategorie etnocentryczne, dzięki którym poszczególne grupy etniczne otrzymują swoje miejsce na cywilizacyjnej drabinie. W tym miejscu mała uwaga: nie jest moim zdaniem właściwe, aby tak skonstruowane *post factum* reprezentacje krytykować wzorem wielu postkolonialnych analityków. Nadmiernie krytyczne stanowisko prowadzi do powtarzania błędu zatwardziałych imperialistów: to, co Inne, redukowane jest do Własnego poprzez uporczywe pomijanie kontekstu, w którym ów Inny został umieszczony. Przyjmijmy więc w tym miejscu, za Siegfriedem Huigenem<sup>35</sup>, stanowisko historyczne. Zwróćmy więc uwagę nie tyle na powszechny europocentryzm, obecny przecież u wszystkich dziewiętnastowiecznych autorów, ale raczej na krytyczne uwagi Rehmana wobec szczególnie rażących stereotypów oraz jego zgola antykolonialny światopogląd.

Tak więc „na najniższym stopniu rozwoju tak pod względem fizycznym jako i społecznym stoją niezaprzeczenie Buszmani” (E 144). Rehman krytykuje jednak misjonarzy angielskich, którzy

ośmielili się powątpiewać, czy Buszman jest rzeczywiście człowiekiem, przypuszczając, że wypadaloby go może raczej uważać za formę przejściową pomiędzy zwierzętami i ludźmi, a jeden z nich (Fleming) cieszy się nawet szybkim nikięciem tego ludu, i zupełną zagładę jego uważa za konieczną dla uratowania godności człowieczeństwa (E 144).

Wskazuje również na pejoratywną konotację słowa „Buszmen”, które zostało nadane grupie San przez kolonizatorów holenderskich (niderl. *Bosjesman* — człowiek z buszu) na wzór malajskiego „*orang utan*”, co w ówczesnych Indiach Holenderskich oznaczało „człowieka z lasu”. Nazwa „San” była używana w odniesieniu do Buszmenów przez ludy ho-

<sup>35</sup> Zob. S. Huigen, *Over de grenzen van het koloniale discours*, „De Nieuwe Taalgids” 2000, 2, s. 121.

tentockie i jest obecnie stosowana w nomenklaturze antropologicznej. Mimo negatywnej oceny fizjonomicznych cech Buszmenów, przez co sprawiają oni wrażenie „istoty niższej i od natury upośledzonej” (E 145), badacz zwraca uwagę, iż ocena taka jest głęboko nieobiektywna, jako że związana z europejskim kanonem piękna. Krytykuje również „niesmaczną szkołę antropologów, która Murzynów stawiała za przykład dzikości i zwierzęcości” (E 227). Omawiając zwyczaje żywieniowe, wierzenia oraz język Buszmenów, wykazuje, że system ten jest o wiele bardziej złożony od obiegowych opinii na ten temat. Tak więc Rehman, który jako „bezsronny badacz nie znajduje w ich organizmie nic takiego, co by ich od reszty rodzaju ludzkiego gatunkowo oddzielać miało”, jawi się jako obserwator daleko bardziej obiektywny niż jego niemieccy, francuscy i angielscy poprzednicy. Godnym odnotowania jest fakt, iż do tekstu relacji nie implementuje negatywnych opinii o Buszmenach z doskonale znanej mu pracy Hinricha Lichtensteina, a powołuje się raczej na bardziej obiektywne badania Gustava Fritscha oraz Willema Bleeka. W przypadku Hotentotów liczba negatywnych atrybutów jest znacznie mniej liczna. Mimo że wyglądem nie różnią się (na ich niekorzyść) od Buszmenów, odznaczają się bardziej wyrafinowanym podejściem do ubioru i ozdób. Rehman podaje w wątpliwość twierdzenia przekazane przez Sparrmana i La Vaillanta, jakoby Hotentoci „zabijali niemowlęta odumarłe przez matkę, albo gdy kobieta powije bliźnięta, jedno z nich zostaje zawsze zgłodzonym” (E 201). W innych miejscach jest z kolei bardziej surowy w ocenie charakteru Hotentotów, i polemizując z Kolbem, uważa, iż wskutek zetknięcia się z cywilizacją europejską lud ten przyswoił sobie ujemne cechy, takie jak lenistwo, pijaństwo i brak zmysłu samozachowawczego<sup>36</sup>.

Ulubieńcami Rehmana zostali, podobnie jak u zachodnioeuropejskich podróżników, „Kafrowie”. Są oni w wielu miejscach „cywilizacyjnym” punktem odniesienia dla zacofania ludów Khoisan. Nie tylko poświęca im najwięcej miejsca (aż 75 stron), ale też trudno dopatrzeć się w ich opisie jakichkolwiek dezawuujących stwierdzeń. Odznaczają się wzorową budową ciała, starannym i schludnym ubiorem, przemyślaną gospodarką, towarzyskim usposobieniem, ułożeniem i grzecznością w kontaktach z innymi, a stosunek rodziców do dzieci „mógłby służyć za wzór najbardziej cywilizowanym narodom” (E 251):

Pod względem porządku stoją bodaj czy nie wyżej od naszego polskiego wieśniaka; jedzą co prawda rękami, ale przed i po jedzeniu myją sobie ręce, a po skończonej biesiadzie płuczają usta (E 243).

Rehmanowski obraz „Kafrow” jest więc wyidealizowaną reprezentacją, mającą swoje źródła w oświeceniowym micie o „szlachetnych dzikusach”, niewinnych, spontanicznych, żyjących w zgodzie z naturą. Większość atrybutów przypisywanych ‘szlachetnemu dzikusowi’ wywodzi się bezpośrednio z cech przypisywanych barbarzyńcom, tyle że uległy one cał-

<sup>36</sup> Zob. A. Rehman, *Echa...*, op. cit., s. 202–204.

kwitemu przewartościowaniu. Prostota i brak wymagań są jednoznacznie komplementarne do prymitywizmu czarnych, niewinność i brak uprzedzeń występują w miejsce dziecinnej głupoty, lenistwo zostaje zastąpione przez błogi spokój, brak ustalonego prawodawstwa przez naturalną harmonię bytu, a niekontrolowany popęd seksualny zaczęto postrzegać jako niczym niezakłóconą radość życia. Urs Bitterli<sup>37</sup> zwraca uwagę na fakt, iż funkcjonujące wyobrażenia barbarzyńcy, jak i również 'szlachetnego dzikusa', wyrastają z etnocentrycznej świadomości kulturowej, i jako rodzaj kolektywnego archetypu nie są obce żadnej kulturze. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że genealogia „dobrego dzikusa” miała raczej katolicką proveniencję. Protestanci (głównie kalwini) mieli bowiem do Murzynów i Indian w XVI i XVII wieku stosunek zdecydowanie negatywny. Purytańscy osadnicy w Ameryce uważali siebie za naród wybrany, tubylców zaś za ludzi nieposiadających żadnych widoków na zbawienie oraz przeznaczonych wyrokiem z góry do stanu niewolniczego<sup>38</sup>. Aż do XVIII wieku funkcjonował w środowisku protestanckim raczej mit „złego dzikusa”.

Owo przewartościowanie barbarzyńcy jest jednocześnie wyrazem woli ucieczki od własnej kultury, nie w realność archaicznych form bytu, lecz w obszar snów i fantazji. Arnold Toynbee w swoim morfologicznym studium historii powszechnej określa podobne próby wydostania się z pełnej rozczarowań rzeczywistości mianem 'archaizmu' i 'futyryzmu'<sup>39</sup>. Ostatni termin, w odniesieniu do obrazu 'szlachetnego dzikusa', nie dotyczy tylko wyobrażeń tego, czym sami nie jesteśmy, lecz fantazji reprezentujących stan, w którym ongiś się znajdowaliśmy i do którego w przyszłości może jeszcze powrócimy.

Dla odczytania i interpretacji przedstawionego w prezentowanych tekstach obrazu Murzynów w kontekście sytuacji politycznej, w jakiej znajdowali się Polacy na przełomie XIX i XX wieku, bardziej przydatna wydaje się propozycja Toynbee'go pojmowania ucieczki od rzeczywistości w kategoriach 'archaizmu'. Mógł się on bowiem manifestować w formach przystających do niemal dwustuletniej historii Polski epoki zaborów: nostalgii za przeszłością, politycznej obojętności oraz konserwatywnej uporczywości, przeradzającej się czasami w ruch rewolucyjny. Archaiczność niezbędna była również, by nadać kontynuację świadomości narodowej zagrożonej przez czynniki zewnętrzne. Być może z tego powodu Rehman tak chętnie odwołuje się do dumy i niezależności Kafrów, ich nieugiętego charakteru, niezależności wodzów plemiennych unikających zwierzchnictwa angielskiego i burskiego. Trudno o bardziej czytelne postkolonialne paralele.

Reprezentacja walecznych „Kafrów”, skazanych za porażkę w obliczu najpierw holenderskiej, a następnie angielskiej cywilizacji, miała więc w Rzeczypospolitej, podobnie jak zainteresowanie Indianami, dość specyficzny kontekst. Rozważania na temat zagłady cywilizacji miały wyraźnie za adresata nie Polaków, lecz zaborców:

<sup>37</sup> Zob. U. Bitterli, *Die „Wilden“ und die „Zivilisierten“*. Grundzüge einer Geistes- und Kulturgeschichte der europäisch-überseeischen Begegnung, München, s. 374.

<sup>38</sup> Zob. J. Tazbir, *Sarmaci i świat*, Kraków, 2001, s. 75.

<sup>39</sup> Zob. A. Toynbee, *Der Gang der Weltgeschichte*, Zürich 1961, s. 469.



W XVIII wieku odwróciło się koło historii. Rozbiory sprawiły, iż Polacy ujrzeni analogię pomiędzy sobą a Indianami, między losami ich państw i cywilizacji a zniknięciem szlacheckiej Rzeczypospolitej z politycznej mapy Europy. Wyrażając sympatie dla Inków czy Azteków, bohatersko broniących swej wolności przed Hiszpanami, tym samym formułowano sprawną cenzuralnie aprobatę dla uczestników narodowych powstań, wymierzonych głównie przeciwko Rosji. Wraz z kolejnymi rozbiorami (1772, 1793), a jeszcze bardziej po upadku szlacheckiej Rzeczypospolitej (1795) strój męznego Indianina staje się jednym z kostiumów, w który przebiera się polski patriotyzm. W poświęconej walce Indian z konkwistadorami literaturze czeskiej oraz węgierskiej porównania takie występują już dawniej, gdyż kraje te wcześniej straciły niepodległość. W dobie Oświecenia przybierają one jednak na sile; zwłaszcza czeskim pisarzom ucisk ludności słowiańskiej przez Habsburgów nasuwał nieodparte skojarzenia z sytuacją ludności indiańskiej, poddawanej hiszpańskiemu jarmu<sup>40</sup>.

Polscy chłopci pańszczyźniani porównywani byli często do Murzynów. Analogie tę dostrzegali już nadworny lekarz Jana III Sobieskiego, Bernard O'Connor, który pisał, iż warunki poddanych w Rzeczypospolitej przypominają traktowanie Murzynów w Indiach Zachodnich. Porównanie zyskało na popularności. Występujący w obronie Murzynów publicyści amerykańscy (John Dickinson, Edmund Burke) chętnie przeprowadzali paralele między tamtejszymi plantatorami a polską szlachtą. Na przełomie XVIII i XIX wieku pojawia się w Polsce zainteresowanie dla prowadzonej na Haiti walki o niepodległość. Zrozumienie dla mieszkańców Haiti wynikało z naturalnej u podbitego narodu sympatii dla wszelkiej walki o wolność<sup>41</sup>. Zestawienie ze sobą ludzi mieszkających na różnych kontynentach, różniących się kolorem skóry, wyznaniem oraz stopniem rozwoju cywilizacji, było czymś nowym. Jeszcze w XVI czy XVII wieku nikomu nie przyszłoby do głowy porównywać Polaków z Murzynami czy Indianami. Jeśli już sięgano po analogie do krajów zamorskich, to pewne zbieżności widziano tylko między szlachtą a konkwistadorami, czyli porównywano białych między sobą. W takim też kontekście powinniśmy postrzegać naszkicowaną przez Rehmana w *Echach z Południowej Afryki* charakterystykę ludów Bantu, postrzeganych jako uosobienie dobrego, lecz i walecznego dzikusa, będącego w tym czasie stałym elementem ezopowego języka.

Na tym jednak nie kończy się swoisty antykolonialny wydzźwięk analizowanego przypadku. Ostrze krytycznego spojrzenia Rehmana najciężej dotyka bowiem Burów: gnuśnych, przyzwyczajonych do lenistwa, z natury lekkomyślnych, niezdolnych zająć się jakkolwiek pożyteczną pracą, nienawidzących cudzoziemców, goniących za chwilowymi rozrywkami. Piją, żyją z dnia na dzień, ich byt materialny jest nadzwyczaj nędzny, choć powód ubóstwa leży wyłącznie w gnuśności:

<sup>40</sup> J. Tazbir, op. cit., s. 26.

<sup>41</sup> Zob. *ibidem*, s. 283–285.

Holender, póki ma kilka pensów w kieszeni, uważa pracę za zbyt ciężką, będzie żyć po całych tygodniach rybami i chlebem, ale chce używać swobody (Sz 35).

Zrozumiałość i zuchwalstwo są wrodzonymi ich wadami, wykształcenie nadzwyczaj niskie — zaledwie połowa umie czytać, a jeszcze mniej pisać:

W ciągu dwuletniej podróży po południowej Afryce nie spotkałem ani jednego Holendra, który by zajmował jakiegokolwiek wybitne stanowisko w towarzystwie, albo odznaczał się uzdolnieniem lub jakimi bądź zaletami (Sz 35).

Rehman relacjonuje postępowanie kolonistów holenderskich wobec ludności autochtonicznej „przejawiające nam obraz srogości, który tylko w postępowaniu fanatycznych Hiszpanów w Ameryce, za czasów świętej inkwizycji, znajduje podobieństwo” (E 187). Kilka stron opisu okrucieństw Burów tłumiących „zamiłowanie do wolności” Buszmenów i ich „przywiązanie do ziemi ojczystej” (E 188) bezsprzecznie celuje w wykształconego w ezopowym języku polskiego czytelnika i jest wymierzone przeciwko władzy zaborczej. Jednak, co ciekawe, krytyka ta nie znajduje pokrycia w doświadczeniu samego podróżnika, który kontakty z osadnikami określa jako niezwykle serdeczne; podróżujący z nim na północ Transwału koloniści to „najzaciejsi i najuprzejmiejsi ludzie” (E 75), a zaskoczony gościnnością i łagodnością napotkanej w drodze burskiej kobiety stwierdza, iż „pod chropawą skórą białego Afrykanina bije uczciwe serce, niezatrute jadem cywilizacji” (E 59). Tak więc antykolonialna teza przesłaniała nawet osobiste obserwacje.

Rozważania dotyczące naszkicowanej przez Rehmana etnografii Południowej Afryki zakończmy uwagą, że jego antykolonialna postawa była obusieczna, i nie dotyczyła jedynie Afrykanerów, lecz także angielskiej polityki kolonialnej. Rozpoczynający drugą relację z południowoafrykańskiej podróży opis Londynu, w którym szerzy się bigoteria i pijactwo, a moralność najniższych klas społecznych sięga dna, każe powątpiewać w cywilizacyjną wyższość Albionu:

podczas gdy wiara w duchy na kontynencie Europy z każdym dniem coraz to bardziej upada, (...) to w Anglii, stojącej na świeczniku cywilizacji europejskiej, istnieje kilka stowarzyszeń spirytystów, dla których podstawą praktycznej etyki jest związek z duchami, a narzędziem pośredniczącym pomiędzy Anglią a światem pozagrobowym — nogi stołowe (E 7–8).

Przybywszy do Durbanu, „zamieszkałego podczas ostatniej bytności przez Kafrów, szczytującym się osobistym bezpieczeństwem swych mieszkańców i poszanowaniem cudzej własności” polski badacz konstatuje zmiany zaszłe po wojnie anglo–zuluskiej z 1879 roku, po której to miasto zapełniło się „zbrojną hołotą” Anglików, która pije od rana do wieczora i głosi „rycerskie czyny ostatniej wyprawy” (E 32). Komentując wprowadzoną przez

Wielką Brytanię w 1834 roku abolicję w koloniach angielskich (*Abolition Act* — objęła ona w Afryce Południowej około 35 tysięcy niewolników, i stała się jedną z przyczyn upadku wielu farm z powodu braku rąk do pracy i trudności z wypłacaniem niskich ekwiwalentów przez Londyn), Rehman zauważa, iż kierowano się w tym przypadku raczej „wyrachowaniem [wymierzonym przeciwko Burom — P. Z.], a nie prawdziwą filantropią” (E 220).

Jednostkowy przykład relacji z południowoafrykańskich peregrynacji pokazał nam, iż mimo że wiek XIX, będący okresem największego zasięgu ekspansji kolonialnej, nie dotyczył Polski, to jednak nasze spojrzenie wnosi wiele do refleksji nad polityką imperialną, przesuwając jednocześnie główny punkt ciężkości na obszar geograficzny, który za (post)kolonialny nigdy uważany nie był. Obok współczucia dla Indian zwalczanych przez białych osadników znajdowano również zrozumienie dla emancypacyjnych dążeń ludności tubylczej kontynentu afrykańskiego. Krytyka pod adresem zarówno brytyjskiej, jak i holenderskiej polityki kolonialnej daje się porównać z postawą Polonii amerykańskiej w XIX wieku, której przedstawiciele, jak stwierdza historyk Mieczysław Haiman,

w miarę sił swoich głosili i szerzyli hasło swobody dla Murzynów. Skoro bowiem tęsknili do wolności ojczyzny, czyż mogli pragnąć uciemnienia bliższych, chociażby odmiennej rasy?<sup>42</sup>

Z jednej strony, jak widzieliśmy, dzielano w Rzeczypospolitej większość opinii i uprzedzeń panujących w zachodnioeuropejskim kręgu kulturowym, do którego przecież należeliśmy. Z drugiej zaś mieszkańcy kraju spychanego przez zaborczych sąsiadów na pozycję państwa (pół)kolonialnego mogli łatwiej zdobyć się na krytyczną ocenę podobnej polityki w Afryce. Czas więc najwyższy na krytyczną refleksję nad polskim (post)kolonializmem i wypełnienie owej białej plamy na mapie rodzimego literaturoznawstwa.

<sup>42</sup> Zob. M. Haiman, *Historia udziału Polaków w amerykańskiej wojnie domowej*, Chicago 1928, s. 8.